



Stanisław Rośkiem  
Fot. M. Kaczyński  
© CK ZAMEK

Ze Stanisławem Rośkiem,  
laureatem Poznańskiej Nagrody  
Literackiej w 2022 roku, rozmawiają  
Jerzy Borowczyk i Krzysztof Skibski

## Wieczny problem artykulacyjny

Jesienny, październikowy wieczór. Stoimy przed kamienicą na gdańskim Wrzeszczu, przy ulicy Pniewskiego. W oknach na parterze słabe światło. Za nami podróż pociągiem z Poznania, a wcześniej lektury niezwykle różnorodnego humanistycznego asortymentu, których autorem, współautorem lub redaktorem jest nasz rozmówca. Czytelnicze wyzwanie i materiał na wywiad rzekę, a nie jedną rozmowę... W Poznaniu, potem w drodze i jeszcze teraz, gdy stoimy przy Pniewskiego pod drzewami (chyba były to m.in. kasztany) – cały czas wertujemy notatki, układamy sobie scenariusz rozmowy. Są w niej wczesne prace Stanisława Rośkiem, a więc wspólny ze Stefanem Chwinem tom krytyczno-literacki (*Bez autorytetu*), teksty-szlify naukowe powstałe pod okiem Marii Janion (także w kolejnych tomach niezapomnianej serii „Transgresje” poświęconych maskom, dzieciom, osobom, galernikom wrażliwości), zaskakujące szkice o Mickiewiczu pośmiertnym, notatki o władzy, polityce i języku, eseje o Schulzu i cała biblioteka doprawdy bezcennych prac dokumentalistycznych poświęconych autorowi *Republiki marzeń*... Mamy poczucie natłoku detali i wielkich spraw. Rośkiem aranżuje w swojej twórczości niezwykle spotkania pozornie nieistotnych śladów pozostawionych przez pisarzy (nie tylko w ich tekstach) z wielkimi tematami antropologicznymi dotyczącymi tego, co w egzystencji odmienne, obce, słabe, spychane na ubocze...

Domofonujemy przy furtce. Uwolnioną popychamy. Tyle ważnych książek powstało w tym domu (będziemy bowiem rozmawiali w wydawniczym królestwie Profesora, w siedzibie Słowo/obraz terytoria). Pierwsze kroki na podwórzu. Otwierają się drzwi tylnej części kamienicy i w świetle widać naszego rozmówcę. Wchodzimy w pokoje regałów, stanowisk redaktorów. Gospodarz sadza nas przed swoim biurkiem. Kawa zaczyna rządzić językiem. Każdy z nas opiera się o zaplecza tomów. Włączamy dyktafony...

## Detale, drobiazgi

**Fascynuje nas w Pańskich książkach umiejętność zobaczenia nośnego w sensy drobiazgu, detalu. Zatrzymajmy się może na chwilę w pokoju poety, przestrzeni artysty. Co tam się mieści, w jaki sposób to pozostaje w relacji do twórczości?**

**Stanisław Rosiek:** Od tematu pokoju poety, artyści są dużo lepsi ode mnie rozmówcy. Jeśli nawet gdzieś o tym pisałem, to tylko zahaczałem mimochodem... Znacznie bardziej interesowały mnie rzeczy osamotnione, które pozostają po śmierci poety, gdy już nie stoi on w ich centrum. Te rzeczy dłużej lub krócej były z nim w bezpośrednim kontakcie – i nagle rozpraszają się po świecie, wchodzą na różne orbity. Pokój poety jest natomiast pewną znaczącą całością – i dlatego często przemienianą w jego muzeum czy izbę pamięci. Przejmuje mnie znacznie bardziej smutek rzeczy przez poetę osieroconych, osamotnionych – choć zamiast poety powiedziałbym chętniej: pozostawionych przez człowieka, który umarł. Jeśli poeta – jak choćby Adam Mickiewicz – interesował mnie w szczególny sposób, to dlatego, że dokumentów jego życia jest na ogół więcej. No i samo to życie było bogatsze i ciekawsze. Dotyczy to też innych artystów i tak zwanych wielkich ludzi, których życie opisują i dokumentują współcześni. Przypomina mi się fragment wspomnień Brassai'a o Pablo Picassie. Ich autor fotografował pracownię artysty i chciał przesunąć pantofle czy może buty, które stały obok łóżka, żeby lepiej komponowały się w kadrze. Picasso zaprotestował i powiedział coś w tym rodzaju: „Tego ci nie wolno robić. Tam, gdzie one teraz stoją, tam powinny pozostać, bo to jest ślad mojego istnienia, więc jeśli chcesz, to fotografuj, ale tak, jak to zastałeś”. Nie ja znalazłem ten fragment. Pamiętam, że przy pracy nad *Transgresjami* zwróciła mi na niego uwagę Maria Janion. Ja wtedy nie do końca pojmowałem, co miał na myśli Picasso i dlatego Janion tak bardzo się tymi jego porannymi kapciami przejęła. Teraz już chyba, po wielu latach, jakie od tamtej rozmowy minęły, lepiej to rozumiem. Rzeczywiście, ślady, które pozostawiamy mimowolnie, są najciekawsze. I to one są na ogół największym wyzwaniem hermeneutycznym.

Pracuję teraz nad *Xięgą bałwochwalczą* Brunona Schulza i uważnie oglądam wszystkie dostępne odbitki jego cliché-verre'ów. Nie ma dwóch identycznych, wszystkie są inne. I dlatego każda z nich powinna być reprodukowana i pokazywana jako osobne dzieło. Akurat teraz nad tym siedzę i temat mógłby zdominować całą naszą dzisiejszą rozmowę, więc mówię stop. Ale o jednym powiedzieć jednak muszę. W dokumentacji, którą zgromadziłem, jest dużo dobrych skanów i fotografii. Można oglądać te reprodukcje grafik znacznie dokładniej niż oryginały. Kiedy na ekranie komputera powiększałem jeden ze skanów, nagle natrafiłem na ślad linii papilarnych. Czyich? Schulz sam robił odbitki swoich grafik. Prawie na pewno jest to odcisk jego palca. Wyobraźcie sobie panowie moje poruszenie tym odkryciem. Trafic na ślady linii papilarnych Brunona Schulza, po którym – jeśli nie liczyć szczątków korespondencji – materialnie nic nie zostało, żadnej rzeczy ani pamiątki. Nie wiemy nawet, gdzie jest jego grób. A jednak jakiś ślad się zachował. Na krawędzi jednej grafiki z *Xięgi bałwochwalczej*. Pomyślałem, że trzeba będzie ten ślad pokazać. Najbliższa okazja to wystawa poświęcona *Xiędze...* (pierwotnie miała być otwarta w listopadzie, otworzymy ją pewnie dopiero w marcu, tu, w Gdańsku). Będą na niej przedstawione rezultaty dokładnego oglądania wszystkich dostępnych grafik. Trzeba będzie wydobyć z tych małych odbitek detale – niewidoczne na pierwszy rzut oka, pozostawione przypadkiem ślady, jak te linie papilarne, ale też ślady pracy Schulza, który pochylał się nad każdą odbitką, retuszując ją, a nawet domalowując i przemalowując jakieś elementy, które mu się nie spodobały. Zmiany te były dokonywane już na etapie wykańczania pozytywu. Ciekawe jest porównanie pięciu odbitek grafiki *Procesja*. Głowa adorowanej dziewczyny, za którą ciągnie pochod bałwochwalców, jest za każdym razem nieco inaczej ukazana. Na jednej jest nawet odwrócona w stronę widza.

**To już właściwie film z tego powstaje.**

Trochę tak, tak... Gdyby je odpowiednio ułożyć, to można by pewnie osiągnąć efekt animacji, ruchu. Wydaje mi się jednak, że Schulzowi chodziło nie tyle o ruch, bo te odbitki nie miały być oglądane seryjnie, jedna po drugiej, co o ostateczny wyraz. Ciągłe był niezadowolony ze sposobu przedstawienia twarzy tej adorowanej dziewczyny i przy pracy nad kolejnymi odbitkami szukał dla niej właściwej formy.

Właśnie tego rodzaju ślady są dla mnie ważne. Ale też takie, o których pisałem w tekście o „rzeczach pozostałych po śp.

Mickiewiczu”. Choćby taki fascynujący, dziwny przedmiot, który można by nazwać „kamykiem z Havru”. Wielu polonistów i literaturoznawców uważa, że najwyższą ich misją jest egzegeza tekstu, a nie egzegeza życia. Dla mnie egzegeza życia jest równie ważna. Kto wie, czy nawet nie ważniejsza. Im jestem starszy, tym mocniej jestem przekonany, że chyba ważniejsze jest to, co się ujawnia z czyjegoś istnienia w jego „pozostałościach” – w tym także w tekście literackim, niż to, co ten tekst literacki znaczy w stosunku do innych tekstów, konwencji czy tradycji. To już mnie, prawdę mówiąc, prawie wcale nie interesuje. A już zupełnie mnie dzisiaj nie interesuje, jak jest zbudowany tekst. Kiedyś było inaczej. Pamiętam, że gdy w 1972 roku zaczynałem studia, wielkim olśnieniem była dla mnie lekcja strukturalizmu. I wielkie pytanie formalistów stawiane dziełom literackim: jak są one zrobione? Jak jest zrobiony *Plaszcz* Gogola? – pytał bodaj Eichenbaum. Po zideologizowanej i upolitycznionej lekcji literatury polskiej odebranej w szkole za Gomułki wpaść w ramiona strukturalizmu, stworzonego w Polsce przez Sławińskiego, Głowińskiego i innych – to było olśnienie. Nagle zrozumiałem, czym może być literaturoznawstwo, że niewiele musi mieć wspólnego z belferskim gadaniem, które mnie nudziło w szkole. Na studiach odkryłem, że literatura nie jest wyłącznie dostarczycielem wzruszeń i emocji ani narzędziem społecznej dydaktyki, lecz także pewnego typu działaniem w sferze znaków. Kiedy już jednak ciekawość tego, „jak to jest zrobione”, zostaje zaspokojona, kiedy na rozmaitych przykładach widzi się, jak działa maszyna literacka, to potem szuka się rozwiązań innych tajemnic. A tajemnica czyjegoś istnienia jest trudniejsza, znacznie trudniejsza do zgłębienia niż tajemnica dzieła literackiego... Chociaż później to pierwsze zaciekawienie przybiera inną postać – czegoś, co można by nazwać mistyką znaczenia, gdy się powraca do tekstu, ale już nie z tym prostym pytaniem, jak on jest zrobiony, lecz: jak to w ogóle jest możliwe, że coś znaczy, że jedno znaczy drugie.

**Jakich przedmiotów nie pozwoliłby Pan usunąć czy przestawić, gdyby ktoś fotografował Pański pokój?**

Tam jest wszystko poprzestawiane – przez jakiegoś złego fotografa. Nie ma w pokoju, w którym pracuję, żadnego ładu. Nikogo nie mogę zaprosić do siebie, bo tam nawet trudno przejść. Oslawione korytarze między książkami w mieszkaniu Marii Janion były szerokimi traktami. Chodziłem nimi bez trudu. U mnie jest chyba znacznie gorzej niż w jej dawnym mieszkaniu przy Niemcewicza. Od wielu miesięcy, czy już nawet lat, staram się – przed

ostatecznym rozstaniem z tym światem – uporządkować swój księgozbiór. Coraz częściej dochodzę do wniosku, że to jest zamiar nie do zrealizowania. Niestety, zostawię komuś ten bałagan.

W moim domu, podobnie jak tu, w wydawnictwie, śladów jest nadmiar – więc one przestają być śladami. Cokolwiek tam jest – jest tego tak dużo, że powstaje antykomunikat, który nic już nie mówi, niczego detalicznie nie komunikuje, ale sam – jako całość – jest komunikatem mówiącym, że ten, kto go wytworzył, nie potrafił zapanować nad rzeczywistością.

**Ale są zapewne takie przedmioty, które z Panem podróżują – bo pewnie Pan się przeprowadzał w życiu kilka razy.**

Tak, ale już od dawna nie. Przed wielu laty osiadłem na Wrzeszczu Górnym i ruszam się stąd niechętnie. Nie będę panów nudził objaśnianiem powodów tej niechęci, powiem tylko, że dzieło poznawania przeze mnie Wrzeszcza Górnego nie zostało jeszcze ukończone. Mieszkam tu i pracuję od dawna. Poprzednia siedziba wydawnictwa mieściła się przy ulicy Grunwaldzkiej, w linii prostej sto, może dwieście metrów stąd, kolejne sto metrów dalej stoi dom, w którym mieszkam. Terytorium, po którym się zwykle poruszam, jest bardzo małe. Wychodzę z domu do wydawnictwa i wracam z wydawnictwa do domu. Dwa razy w tygodniu prosta łącząca te dwa punkty zamienia się w trójkąt. Wtedy jadę na uniwersytet, który mam o trzy kilometry stąd. Całe moje życie – tygodniami, miesiącami – mieści się w tym trójkącie. Bardzo nie lubię wyjeżdżać. Myśl o wyjeździe, jakimkolwiek, jest nieznośna. Chociaż – jak już się na to zdecyduję i wyruszę w świat – to nagle coś się zmienia. Odnajduję przyjemność w byciu gdzie indziej. Czas podróży jest odświeżający. Nie muszą to być podróże egzotyczne. Moje potrzeby w tym zakresie są niewielkie. Kilka ostatnich dni spędziłem w Krakowie i Warszawie. Wróciłem pełen nowej energii, nie wiadomo, skąd zaczerpniętej. Ale powrót do siebie także sprawił mi przyjemność. Mógłbym nigdzie stąd nie wyjeżdżać. Tory kolejowe dzielą Wrzeszcz na Górny i Dolny. To jest spora dzielnica, kto wie, czy nie największa w aglomeracji gdańskiej. I ona mi wystarcza jako miejsce życia.

### **Obecność literatury**

**Od pokoju Profesora Stanisława Rośki chcemy przejść do biografii, zwłaszcza że pojawił się już w naszej rozmowie Wrzeszcz. W jakiej dzielnicy spędził Pan dzieciństwo w Gdańsku?**

Na Oliwie, ale urodziłem się na Wrzeszczu. Był taki słynny szpital przy ulicy Klinicznej, w którym przyszło na świat tysiące nowych gdańszczan. I ja tam się urodziłem. Moi rodzice mieszkali wtedy w wynajętym pokoju przy ulicy Konopnickiej, dwieście pięćdziesiąt metrów stąd, a potem trochę dalej, na Wrzeszczu Dolnym, przy ulicy Mickiewicza. Gdy miałem pięć lat, to się przeprowadziliśmy na Oliwę i tam spędziłem całą młodość. Nawiasem mówiąc, było to dwa kroki od domu Stefana Chwina, ale wtedy, mimo tego, że byliśmy bliskimi sąsiadami, jeszcze się nie znaliśmy. On jest starszy ode mnie o parę lat, więc to rozumiałe. Jeśli panowie czytaliście jego *Krótką historię pewnego żartu*, to wiecie, że jest w niej przedstawiona peryferyjna część Oliwy, przylegająca do pasa łąk i nadmorskiego lasu. Ulica Poznańska, przy której mieszkał Stefan, przecinała Krzywoustego, przy której ja mieszkalem. To właśnie tam, gdzie bruk zamieniał się w drogę polną, było miejsce mojego życia i Stefana również. Co więcej, zostałem nawet jednym z bohaterów jego powieści. Epizodycznym bo epizodycznym, ale jednak. Pojawiam się dwa razy. Pierwszy raz w zdaniu „domu Rośka jeszcze wtedy nie było”. To prawda. Rodzina Stefana zamieszkała w domu – jak mówiliśmy – ponie mieckim. Ja wprowadziłem się później, w końcu lat 50. do nowo wybudowanych stalinowców, za którymi rozciągały się już tylko łąki i poligony wojskowe.

Drugi raz pojawiając się w tej powieści w scenie wizji – jeśli dobrze pamiętam – Pałacu Kultury, który nagle pojawia się nad Zatoką Gdańską. Urzeczony nią mały, choć ode mnie starszy Stefan biegnie z kolegami w kierunku morza, przez moje podwórko i... Zdanie brzmi mniej więcej tak: „Rosiek siedział w piaskownicy i patrzył na świat nic nierozumiejącymi oczyma” [*śmiej*]. Po ukazaniu się pierwszej wersji *Krótkiej historii...*, trzydzieści lat temu, uznałem, że – jako bohater powieściowy – wszedłem już do literatury na dobre. Niestety, w drugim wydaniu Chwin w istotny sposób tekst zmienił. Skreślił też jedno ze zdań, które zapewniało mi literacką nieśmiertelność.

### Jak długo mieszkał Pan na dolnej Oliwie?

Zaraz po studiach wyprowadziłem się z domu rodzinnego i tułałem się po całym Gdańsku. Raz nawet udało mi się przemieszkać dwa lata w segmencie szeregowca w Brzeźnie, bo właściciel, przebywający z rodziną na zagranicznej placówce, potrzebował kogoś do pilnowania jego nieruchomości. Nigdy już później nie miałem tak dobrych warunków życia. Mieszkalem w domu z ogródkiem! Aż w końcu w latach 80. wróciłem na Wrzeszcz. Na początku

mieszkałem przez wiele lat – teraz to sobie uświadomiłem, że tak blisko – nie dalej jak pięćdziesiąt metrów w linii prostej od mojego obecnego mieszkania. Dzięki rozmowie z panami zaczynam o sobie myśleć trochę tak jak o Schulzu. Przestrzeń jego życia w Drohobyczu dałaby się zamknąć w kilometry kwadratowym...

### *Republika marzeń?*

Właśnie. Oliwa to jest czas szkoły podstawowej, średniej i studiów. Gdy skończyłem studia, wyprowadziłem się z Oliwy, ale ona ze mnie nie...

Mieszkałem w gorszej części dzielnicy – na Oliwie Dolnej, czyli na peryferiach. Dwa kroki za moim domem kończyło się miasto. Dzielnicy Przymorze jeszcze nie było. Cały pas wzdłuż brzegu morskiego był niezabudowany, zielony – a na nim łąki, często podmokłe, las. Ktoś hodował krowy, po świeże mleko można było chodzić. Kartofliska, ferma kur. Moje ówczesne doświadczenia mało były miejskie, raczej chyba wiejskie.

Tamtą epokę – jak już mówiłem – opisał Chwin. I zrobił to trochę za mnie. Napisałem potem recenzję *Krótkiej historii pewnego żartu*. Jako świadek naoczny (i zarazem powieściowy bohater) zadawałem kłam różnym jego twierdzeniom, pokazując, gdzie zaczyna się autorskie zmyślenie. Moja dziecięca arkadia inaczej wyglądała. Mieszkaliśmy w tym samym miejscu, ale w innym czasie, w innej epoce życia. Między nami jest kilka lat różnicy. Chwin był świadom tego, co się wokół niego dzieje we wczesnych latach 50. Urodził się w 1949 roku i lata 50. mógł już postrzegać świadomie. A ja – rzeczywiście – wtedy jeszcze „patrzyłem na świat nic nierozumiejącymi oczyma”. Jako jedno z pierwszych ważniejszych zdarzeń spoza granic mojego podwórka pamiętam śmierć Kennedy’ego w 1963 roku. W latach następnych patrzyłem, to i owo już rozumiejąc, na gomulkowszczyznę w propagandowym natarciu. Roku 1968 nie przeżywałem aktywnie – chodziłem wówczas jeszcze do szkoły podstawowej. Stefan był już na studiach, więc jego perspektywa była zupełnie inna. Dla mnie szokiem był dopiero rok 1970. Byłem wtedy w drugiej klasie liceum i – jako niezbyt pilny uczeń skupiony na prywatnej wojnie z edukacyjnym systemem – doznałem olbrzymiej traumy, która rozszerzała granice opresji. Po 1970 roku w Gdańsku nie można było mieć żadnych wątpliwości co do natury systemu politycznego, jeśli chociaż trochę było się krytycznym. Wiadomo, że w żadnym razie nie można iść na współpracę z reżimem. Choć oczywiście po to, żeby żyć, trzeba było pracować – i stawać się elementem systemu. Nie chcę jednak wchodzić teraz w piekielne dylematy,

jakie wtedy przed obywatelami PRL-u stawały, ale pewnych granic przekraczać jednak nie było wolno.

### **Momentem zwrotnym był dla Pana raczej czas szkoły średniej czy studia?**

Nie chcę za dużo gadać o szkole średniej. Uważałem szkołę w ogóle za piekielny wynalazek i żyłem w przeświadczeniu, że im mniej szkoły w moim życiu, tym lepiej. Nie pamiętam, abym w podstawówce kiedykolwiek się uczył – a przechodziłem z klasy do klasy na bardzo dobrych ocenach. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że w liceum na podstawie egzaminu i not na świadectwie przydzielono mnie do klasy matematycznej. Była to zarazem klasa prymusów – jak się prędko okazało. Ciągłe myślałem, że w szkole uczyć się nie ma potrzeby, bo i tak wszystko wiadomo. Bardzo szybko nauczyciele udowodnili mi, że jest inaczej. Na pierwszy okres same rewelacje: dwója z polskiego, dwója z fizyki, dwója z matematyki. Od tej chwili rozpoczęła się moja walka z reżimem szkolnym i trwała przez cztery lata. Krok pierwszy – wycofanie się i strategia uników. Wraz z przyjacielem ścigaliśmy się, kto ma więcej nieobecności. Robiłem wszystko, co możliwe, żeby jak najrzadziej chodzić do szkoły. Na szczęście miałem mamę, która to rozumiała i bez wahania podpisywała mi zwolnienia. Woląłem siedzieć w domu, czytać książki, robić cokolwiek. W szkole podstawowej myślałem, że będę chemikiem. Nawet chciałem iść do technikum chemicznego, ale ojciec mi to wyperswadował. Przekonał mnie, że może lepiej pójść do ogólniaka, bo jeszcze wszystko może się zmienić. Po pierwszych miesiącach chemii w liceum – dzięki nauczycielce – w ogóle straciłem jakiegokolwiek zainteresowanie tym przedmiotem. Uznałem, że jestem artystą, malarzem, że powinienem tworzyć, a nie uczyć się tego, co nakazywała szkoła. Przez cały czas liceum utrzymywałem się w tej roli. Miałem własną pracownię, malowałem... W czwartej klasie chodziłem jako wolny słuchacz na ASP i już myślałem, że moje życie wyszło na prostą. Ale nie. Akademia była innego zdania. Nie zdałem egzaminu.

### **ASP Pana nie przyjęła. Co było dalej?**

Przeraziłem się wojska... W tamtej epoce nie było z tym żartów. Przeraziła mnie perspektywa wyrwania z życia na dwa lata. Wielu moim kolegom, którym się nie powiodło, wojsko skutecznie zablokowało drogę edukacji. Ze strachu złożyłem papiery na polonistykę i ledwie się dostałem. Ale udało się – okrężną drogą, ale jednak. Pomyślałem, że za rok spróbuję ponownie zdawać egzaminy



na ASP. Spodobało mi się jednak na uniwersytecie. Spłynęła na mnie łaska zrozumienia. Przez pierwszy semestr nauczyłem się wszystkiego, co najważniejsze. To było jak zastrzyk – może nie tyle wiedzy, ile umiejętności jej poszerzania. Pod szyldem „metodologia badań literackich” odbywały się zajęcia, które prowadził magister Jerzy Keiling, jeden z uczniów Marii Janion. Zasypywał nas artykułami i książkami autorów o obco brzmiących nazwiskach: Tynianow, Mukařovský, Lévi-Strauss, Barthes, Caillois, Cassirer, o których nikt z nas wcześniej nie słyszał. Kazał czytać niezwykle użyteczną antologię Henryka Markiewicza *Sztuka interpretacji* – a na zaliczenie wymagał pisemnej analizy metody zastosowanej przez jednego z wielkich autorów. Po monofonicznej szkole to było nagle olśnienie: jest wiele uprawnionych punktów widzenia na literaturę, nie trzeba powtarzać za innymi, nie ma obowiązku chodzenia istniejącymi szlakami – można wyznaczać nowe, na własne ryzyko i na własną odpowiedzialność. W jednej chwili wyparowała nuda szkolnej lekcji polskiego. Przede mną otwierał się świat pełen przygód. Jeśli ktoś zrozumie, że nasz humanistyczny fach to w istocie – ujmując etymologicznie – awanturnictwo, zrozumie (prawie) wszystko. A czy przeczyta potem jedną książkę więcej, czy mniej, nie ma wielkiego znaczenia. Wystarczy, że odnajdzie własny punkt obserwacyjny, żeby – po swojemu – czytać teksty i patrzeć na zdarzenia literackie. I że będzie wiedział, gdzie się znajduje i skąd patrzy.

### Antropologiczne transgresje

Rozmawiamy o Pańskiej biografii, o przemianach, które doprowadziły Pana do pracy akademickiej. Wydaje się, że jednym z najbardziej przełomowych wydarzeń w tej karierze było współtworzenie przez Pana niezwyklej serii monografii pod tytułem *Transgresje*. Jak doszło do narodzin tego fenomenu? Jak dziś widzi Pan rolę tego dzieła, które – tak nam się wydaje – w latach 70. i 80. XX wieku niemal nie miało prawa się pojawić?

Tak, gdy teraz o tym myślę, to rzeczywiście: *Transgresje* nie miały prawa się pojawić w tamtej epoce. Powstały dzięki splotowi dobrych zbiegów okoliczności. Zaczę od tego, co najważniejsze, od prowadzonych przez Marię Janion na Uniwersytecie Gdańskim konwersatoriów metodologicznych. Pojawiły się tam w pewnym momencie tematy i lektury, które zwekslowały te konwersatoria metodologiczne z czysto literaturoznawczego kursu w stronę problematyki filozoficznej, antropologicznej. Wydaje mi się, że przełom nastąpił wtedy, gdy zaczęły się rozmowy o antypsychiatrii,

która na Janion zrobiła duże wrażenie. A skoro na niej, to i na nas. O antypsychiatriach mało kto w Polsce w tamtym czasie wiedział. W „Literaturze na Świecie” pojawił się jakiś jeden przekład. Niewiele więcej. Janion dobrze się czuła w kręgu lektur francuskojęzycznych, niemieckich także, ale angielskich już gorzej. A ci antypsychiatrzy – Cooper czy Laing – to byli jednak Anglo-Amerykanie, raczej Anglicy niż Amerykanie. Janion widziała ich oczyma Francuzów, którzy potrafili wyjść poza wewnętrzne spory psychiatrów i nadać nową wrażliwość na Inne i na Innego w wymiarze ogólniejszym. Pamiętam ją dobrze, jak przedstawiała nam podczas konwersatorium książkę Rolanda Jaccarda *Wygnanie wewnętrzne* – do dzisiaj zresztą czytana. Chyba wtedy to się zaczęło. Nagle problematyka antropologiczna ruszyła z całą siłą i Janion – tak myślę – zrozumiała, że to jest i dla nas, i dla niej znacznie ważniejsze i ciekawsze niż prowadzenie kolejnych zajęć literaturoznawczego seminarium. Podejrzewam, że musiała być znużona uprawianiem czystej historii literatury. Potem przyszły feministki, francuskie zwłaszcza. Pamiętam też szok, jaki wywołała książka *La Malcastrée – Żle wykastrowana* młodej pisarki Emmy Santos. Proszę to sobie wyobrazić! Jest siedemdziesiąty ósmy, może dziewiąty rok, schylek Gierka, a my na Uniwersytecie Gdańskim czytamy fragmenty książki *Żle wykastrowana*, która jest gwałtownym atakiem na wszystkich i wszystko – na represyjnych mężczyzn, na opresyjny system... Potem przyszli inni autorzy razem ze swoimi książkami: Artaud, Bataille, Leiris, a z polskich – Peiper, Przybyrszewska, Gombrowicz.

Pracowaliśmy w takim trybie: jej wykład, referowanie, wystąpienia poszczególnych osób, dyskusje na temat tekstów o charakterze antropologicznym, inspirowane przez nie próby interpretacji literatury. Bardzo szybko – jako temat rozważań – pojawiły się na konwersatorium teksty Foucaulta z jego *Wstępem do transgresji* na czele.

Drugim dobrym zbiegiem okoliczności był fakt, że jej były magistrant Edward Mazurkiewicz (dziś już nieżyjący) kierował wtedy jako dyrektor Wydawnictwem Morskim i żywił absolutny kult Marii Janion. To on kilka lat wcześniej wydał jej *Romantyzm, rewolucja, marksizm. Colloquia gdańskie*, a teraz podjął się wydawania *Transgresji*. Bez niego *Transgresji* by nie było.

### Można też chyba mówić w tym przypadku o czymś w rodzaju Państwa pokoleniowego doświadczenia?

W drugiej połowie lat 70. w Gdańsku, wokół kilka lat wcześniej utworzonego uniwersytetu powstało środowisko młodych ludzi,

którzy w następnych latach wyraźnie zaznaczyli swoją obecność – w literaturze, w kulturze, także w polityce. Pochód literacki otwierał Stefan Chwin (rocznik 1949), zamykał Paweł Huelle (rocznik 1957). Mógłbym wymienić kilkadziesiąt osób urodzonych w tym przedziale czasowym, należących do tej nieformalnej grupy, której granice były płynne. Miałem szczęście blisko współpracować z wieloma z nich. Władysław Zawistowski, Anna Czekanowicz, Andrzej Chojecki, Leszek Kopec, Zbyszek Majchrowski, Ewa Graczyk... To moja koleżanka z roku, dzisiaj wojująca feministka. Iza Filipiak, która dołączyła do nas nieco później. Aż mi trudno w tej chwili wyliczyć najważniejsze dla mnie osoby. Anna Janko... Ekonomista i pisarz Dariusz Filar. I jeszcze Marian Terlecki, który był dokumentalistą, a potem prezesem telewizji. Proszę zwrócić uwagę, że wielu późniejszych polityków, związanych w tym czasie z uniwersytetem, także mieści się pomiędzy tymi granicznymi datami: Donald Tusk, Aram Rybicki (obydwaj studiowali historię), ale też należący do różnych orientacji Aleksander Kwaśniewski i Lech Kaczyński. Cały ruch Młodej Polski – to też są te roczniki. Do tego dodać trzeba gdański ruch anarchistyczny, a także Tart z Konnakiem, Sajnogiem, Tzymańskim... Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, jak bardzo osoby tworzące to rozległe i zróżnicowane wewnętrznie środowisko były aktywne na różnych polach.

**Właściwie to środowisko skupione wokół *Transgresji* robiło coś, co później się stało w humanistyce modne jako badania kulturowe. Tutaj odbywało się to w środkowoeuropejskim wydaniu, mocno przecież czerpiącym z zachodnich inspiracji.**

Słusznie panowie na to zwracają uwagę. Bo to nie było tak, że importujemy do Gdańska krytyczną myśl francuską i bierzemy na tapet Raymonda Rousse'a i innych twórców, o których oni lubili pisać. Ale – proszę bardzo – mówimy o Peiperze, o Przybyszewskiej czy choćby o Białoszewskim, który osobiście zjawiał się raz czy dwa na konwersatorium Janion. Podobnie jak Grotowski i Grass. Przeniesienie zachodniej myśli antropologicznej na nasz grunt nigdy nie było celem samym w sobie. Jako grupa młodych literaturoznawców – między nami mówiąc – nie znaliśmy inspirujących nas autorów dostatecznie dobrze. Nie byliśmy specjalistami od myśli Foucaulta czy Bataille'a. Raz dlatego, że była bariera języka, dwa – problem z dostępnością do publikacji. Panowie sobie nie wyobrażają, jak wielki był w tamtych latach głód obcojęzycznych książek. Janion miała cudowny sposób zdobywania niedostępnych książek z Zachodu. Ale to temat na osobną opowieść... Zgromadziła w swojej bibliotece niebywały zbiór

aktualnych rzeczy, które wychodziły na Zachodzie, zwłaszcza we Francji, ale trochę też w Niemczech. Te książki całymi walizkami przywoziła na nasze konwersatoria. Kładła na stole, pokazywała nam, kusila nimi, komentowała jakieś fragmenty, czasem też na gorąco tłumaczyła... Patrzyliśmy jak urzeczeni, ale też z żalem. Oczywiście, że czuliśmy się pokrzywdzeni... Pamiętam, że jeszcze jako student zacząłem jeździć na Międzynarodowe Targi Książki, które każdego roku odbywały się w Pałacu Kultury. I gapilem się na humanistyczne serie Gallimarda, na książki wydawnictwa Seuil – dla nas niedostępne. Można je było wziąć do ręki, przez chwilę pooglądać, ale nie kupić.

### Biografia, czyli defragmentowanie

Istotne miejsce w książkach z serii *Transgresje* zajmuje ogniwo *Biografia i egzystencja*. Zastanawiamy się nad jego wpływem na szczególnie wątek biograficzny w Pana autorskich monografiach. Jest obecny zarówno w nekrografiach Mickiewicza, jak i w czymś, co uznajemy za Pański swoisty manifest biografii jako dzieła nieuchronnie fragmentarycznego, a który znajduje się w tomie *Odcięcie. Szkice wokół Brunona Schulza*. Nie ma Pan wrażenia, że porywanie się na pisanie czyjejś biografii to jednak szaleństwo?

To za chwilę... Jeszcze słowo o fragmentach antropologicznych, w odpowiedzi na to, o co panowie wcześniej zapytali. Tytuł tej stałej części każdego tomu *Transgresji* wziąłem – jak pamiętam – z książki zbiorowej *Fragmenty filozoficzne* poświęconej Kotarbińskiemu. Zaproponowałem, by nasze fragmenty – analogicznie do „filozoficznych” – nazwać „antropologicznymi”, ale nagle ogarnęły mnie wątpliwości. Połączenie tych słów zabrzmiało obco i fałszywie. Ale Janion uznała, że to dobry pomysł. Przypomniała fragmenty pisane przez romantyków... Daliśmy więc te *Fragmenty antropologiczne*. Akcent padał wówczas na słowo „fragmenty”. Z dzisiejszej perspektywy patrząc, powiedziałbym, że ważniejsze było wprowadzenie w obieg humanistyczny słowa „antropologiczne”, ale pół wieku temu chodziło raczej o praktykowanie lektury fragmentu, który nie tyle ma dawać wgląd w czyjeś dzieło, ile budzić w czytającym jakiś nowy ton, jakiś rodzaj nieznaney mu do-  
tąd wrażliwości, o który siebie nawet nie podejrzewał. Odczułem coś podobnego wcześniej, gdy kiedyś w uniesieniu przeczytałem fragment z *Logiki sensu* Deleuze’a opublikowany w „Tekstach”, w olśniewającym przekładzie Stanisława Cichowicza, którego uważam za wielkiego filozofa współ-myślącego z przekładanymi filozofami. Ale też filozofa „pierwszego”.

Co do biografii – niestety, rozczaruję panów. Nie ośmieliłbym się formułować żadnej teorii pisania biografii. Myślę, że ona jest nie do sformułowania; że biografistykę można jedynie na rozmaite sposoby praktykować. Liczę tu bardziej na innych niż na siebie.

Od dobrych paru lat pracuję z moimi młodszymi koleżankami i kolegami na schulzowskim polu. To jedna z najprzyjemniejszych części mojego życia – praca ramię w ramię z młodymi ludźmi. Dokładnie tak samo postępowała Janion. Tego się od niej nauczyłem. Gdy zaczynała się epoka transgresji, Janion włączyła nas, młodych, dopiero co po studiach do wspólnego przedsięwzięcia. Chyba nie miałem jeszcze nawet magisterium, jak zacząłem z nią współpracować. Nie zastanawiała się, czy mam kwalifikacje, czy nie. Dała mi zadanie do wykonania (przeczytać, napisać komentarz, wybrać fragmenty do publikacji). Gdyby mnie ono przerosło, to drugiego zadania by mi pewnie nie dała albo obniżyłaby poziom. Staram się robić dokładnie to samo z moimi młodszymi współpracownikami. Jeśli ktoś pisze magisterium i dobrze sobie radzi, natychmiast zostaje włączony do całkiem poważnych prac w zespole. Żadnych dydaktycznych symulacji. Często okazuje się on (lub ona) skuteczniejszy i lepszy od niektórych moich utytułowanych kolegów, którym – smutno to powiedzieć – nie chce się już nic, bo ogarnia ich rodzaj – nie wiem: demobilizacji, zniechęcenia, znużenia dotychczasowymi działaniami. U siebie jeszcze tego nie zauważyłem i mam nadzieję, że nieprędko ta choroba mnie dopadnie.

Wracając do tych młodych... Jeśli ktoś z naszego wielopokoleniowego kręgu schulzologów napisze biografię Schulza, to raczej oni. Ja już tego nie zrobię. Myślę, że nie będę miał ani siły, ani czasu na to. Ale na przykład Tymek Skiba – on już tak. Napisał coś, co nazwał „biografiami równoległymi”. Pokazują one dzieje wspólne Schulza i Gombrowicza, Schulza i Witkacego. Te jego biografie liczą po kilkadziesiąt stron i są pasjonującymi studiami dziejów poznawania się, znajomości i później przyjaźni, wzajemnej fascynacji, zazdrości i rywalizacji. Być może powstaną jeszcze inne biografie równoległe Schulza.

Tradycyjny dyskurs biograficzny (urodził się, pracował, tworzył, debiutował, ożenił się i tak dalej – aż do śmierci) trochę nas już nuży. Tego się nie da dzisiaj czytać, prawda? Kontur narracyjny, wykorzystywany przez dawnych biografów, został doszczętnie zużyty i nie jest w stanie uchwycić wyjątkowości (i osobności) czyjegoś istnienia.

Inną jeszcze, alternatywną wobec tradycji drogą poszła Ola Skrzypczyk (rok temu obroniła doktorat). Napisała coś,

co nazywa „biografią akustyczną” Schulza. Skupia się w niej na doświadczeniach dźwiękowych pisarza, na tym, czego słuchał z wyboru, i tym, co go otaczało (osaczało) w świecie dźwięków, w jakim żył. Następny z młodych gdańskich schulzologów, Jakub Orzeszek (26 października będzie bronił doktorat), umieszcza Schulza na pograniczu życia i nieżycia, ciała i słowa, śmierci i rozmaitych form przetrwania. Rzecz dotyczy „drugiego ciała” pisarza. Jakub, uspokojony przeze mnie, że to dostatecznie doktoratowe, umieścił w swojej rozprawie jako jeden z rozdziałów opracowany prze siebie indeks szczegółowy, który był częścią wspólnie przygotowanej publikacji *Indeksy do „Sklepow cynamnowych” Brunona Schulza*.

### Uwielbiamy indeksy...

Ja też. My też. Kilka osób z Pracowni Schulzowskiej opracowało tematyczne indeksy odnoszące się do dzieła Schulza. Indeks Orzeszka nosi tytuł *Ciało, części ciała, wydzieliny* i znalazł się w jego rozprawie jako niewypowiedziana wprost interpretacja Schulza, co zostało docenione przez jednego z recenzentów, Michała Pawła Markowskiego, który zresztą sam zrobił coś podobnego w swojej książce *Powszechna rozwiążłość. Schulz, egzystencja, literatura* (2012). W jednym z rozdziałów zestawił słowa z prozy Schulza.

Ale książka Orzeszka zawiera też eseje, które – już wprost – podejmują temat istnienia pisarza, istnienia przelamującego się, zanikającego i w różny sposób podtrzymywanego. Jest to jeszcze jedna forma biografii – biografii granicznej, biografii istnienia, które osuwa się w nieistnienie. I wydobywa się z niego dzięki literaturze.

**To nas coraz bardziej prowadzi w stronę pytania o miejsce Schulza w Pana pracy badawczej i pisarskiej. Być może sekwencja Peiper – Mickiewicz – Białoszewski była czymś w rodzaju podłoża, na którym wyrosło Pańskie spotkanie z twórczością Schulza? Każdy z tych twórców, z Schulzem włącznie, konstruował totalne światy artystyczne i myślowe...**

Tak mi się też wydaje. Totalność lub może lepiej: komplementarność, całościowość – to według mnie słowa kluczowe. O Schulzu nie sposób pisać w oderwaniu od jego biograficznego doświadczenia. Czytać tylko jego teksty to za mało. Nie wystarcza nawet włączenie w krąg działań interpretacyjnych jego rysunków i szkiców, mimo iż jest w nich obsesyjnie i natrętnie obecny jako wykreowana figura odsyłająca poza nie – do siebie rzeczywistego. Trzeba

również sięgać do tekstu jego biografii (a wcześniej tekst ten ustalić). Ryzykowna wydaje mi się czysto egzegetyczna postawa – zajmowana choćby przez Agatę Bielik-Robson, ale też wielu innych schulzologów – postawa, która kieruje się prostą i kategoryczną dyrektywą: czytać prozę Schulza i wylawiać z niej jakieś konfiguracje idei. Nawet jeśli te konfiguracje nie zastygają w jakimś jednym kształcie, bo egzegeta ma ambicję przekraczania kolejnych horyzontów rozumienia, tego rodzaju postępowania nieuchronnie prowadzą do jakiejś definitywności, do tekstu-interpretacji, w którym schulzowskie idearium przybiera kształt ostateczny. Męczy mnie lektura tekstów, które przedstawiają punkt dojścia interpretatora referującego wszystko to, co udało mu się ustalić w lekturze. Interpretowanie jest ciekawe, gdy się staje – na naszych oczach, gdy proces poznawania dzieła literackiego jest w toku, gdy jeszcze trwa i nie wiadomo, jak się skończy. Jeśli już egzegeza, to jako przygoda rozumienia. Ona może być również ciekawa. Iść zaś za kimś krok w krok i przyglądać się, jak on dochodzi do rozumienia i jak porządkuje znaczący przekaz literacki czy jakieś sekwencje znaków. A jeszcze, gdy intryguje nas osoba interpretatora... Patrzymy na Agatę Bielik-Robson interpretującą prozę Schulza. Podniosłe widowisko. Ale wtedy dzieło i jego autor schodzą na drugi plan. Zmienia się obiekt naszego zainteresowania... A Schulz? On zwiesza smutnie głowę.

### **I dlatego zwraca się Pan w stronę okoliczności życia i pisania autora *Sanatorium pod klepsydrą*?**

Biografia Schulza nadal jest dla mnie wyzwaniem – i boję się, że nic się tu już nie zmieni. Na poziomie elementarnym jest jeszcze wiele, bardzo wiele do zrobienia. Chodzi przede wszystkim o to, by odzyskać biografię Schulza, ustalić jej tekst mimo zniszczenia niemałej części jego dzieła i jego archiwum. Nie zachowało się zbyt wiele świadectw życia Schulza. Te, które znamy, nie zostały dotąd uporządkowane i opublikowane. Mam nadzieję, że sukcesywnie wydawane przez nas „Archiwum schulzowskie” zmieni ten stan rzeczy.

### **Literatura jako remedium na język inercji?**

Może na chwilę pójdźmy w nieco inną stronę, która bardzo nas interesuje i wiąże się poniekąd z Pańskimi tekstami. A także z biografią. Rozważamy o literaturze jako remedium na język inercyjny. To znaczy na taki, który funkcjonuje w obiegu społecznym jako język – w pewnym sensie – niczyj. Niczyj, bo

składający się z jakichś gotowych elementów bezświadomie powtarzanych, może zawłaszczanych przez dyskursy polityczne, przez uproszczone przekazy społeczne. Czy można dziś myśleć o literaturze jako remedium na taki właśnie język inercyjny? Czy „antylingwizm” literatury jest dziś przydatny?

Rozumiem, że chodzi o antylingwizm literatury współczesnej, który objawia się w taki sposób, że większość pisarzy traktuje język arefleksyjnie, że językowi ufa, to znaczy korzysta z tego języka tak, jak niepiszący na ogół korzystają, czyli uznając, że język jest mniej czy bardziej wygodnym i skutecznym narzędziem komunikacji. A z drugiej strony taki na przykład Tkaczyszyn-Dycki, którego – choć przecież poeta – język przeraża i dlatego każdym wierszem oswaja go jak dzikie zwierzę. Czasem myślę – czytając Tkaczyszyna-Dyckiego czy Białoszewskiego – że ich poezja wyrasta z jakiejś pierwotnej, podstawowej niewygody istnienia w języku i że mówienie, artykulacja i komunikowanie się z innymi stanowi ich fundamentalny kłopot.

Siebie samego też mam za kogoś takiego. Gadam teraz jak najęty, ale to wcale nie znaczy, że mówienie łatwo mi przychodzi. Wprost przeciwnie. Mam wrażenie, że nie panuję nad językiem, że to raczej on ma nade mną władzę. Za każdym razem, żeby względnie sprawnie i precyzyjnie coś innym zakomunikować, muszę podjąć wielki wysiłek. Nie zawsze z dobrym skutkiem. Nie należę do grupy tych, którzy ufają językowi i świetnie się czują w ramach tego, co ten język oferuje. Ja nie potrafię się w języku zakotwiczyć, zdomowić. Mam wieczny problem artykulacyjny. Jakbym musiał wymyślać swój język ciągle od nowa. I zgadywać, jak mówią inni. Moje pisanie to trud, to męczarnia, której nie znoszę. Nie lubię nawet trzymać w ręku pióra, nie znoszę stukania w klawisze. Jeśli mogę czegoś nie napisać, to tego nie robię. Czasem złoścę się na siebie, że z niechęci do pisania nie notuję myśli i pomysłów, które przychodzą mi do głowy. Żałuję, bo poniewczasie uznaję, że może nie były one takie głupie, ale już nie potrafię ich, niestety, odtworzyć. Jednak pocieszam się, że jeśli coś jest ważne, to wróci, w takiej czy innej formie, może nawet doskonalszej. Jeśli coś naprawdę było wartościowe w strumieniu myśli płynących nie wiadomo skąd, to nie zostanie bezpowrotnie utracone.

Wracając do tematu nieufności wobec języka. Dominująca część współczesnej polskiej literatury zawarła pakt z językiem powszechnie używanym. Nie jest to dobry pakt, bo eliminuje pisarzy, którzy mieliby ochotę (i możliwości) stworzenia własnego idiomu literackiego. Większość pisarzy sięga po współczesną



odmianę „mowy niczyjej”, której dawne formy próbowałem przed laty opisać w książce *Władza słowa*. Z tego powodu już dawno zwolniłem się z obowiązku czytania nowości. Nawet ważnych autorów. Nigdy w życiu nie sięgnę już po bląhą literaturę popularną. Ale też pisarze, którzy wysoko ustawiają głos, mało mnie ciekawią. Czytam więc niewiele, beletrystyki prawie wcale. Niestety. To jest zresztą choroba naszego zawodu. Na szczęście nie pracuję jako krytyk obserwujący współczesną literaturę, bo musiałbym czytać to wszystko, co się ukazuje drukiem. A ja zajmuję się od dawna tematami – umownie mówiąc – antropologicznymi albo już „historycznymi”, więc nie mam zbyt wielu okazji, by trafić na współczesnych pisarzy, którzy mogą coś nowego o języku powiedzieć i w języku pokazać. Ale jeszcze dziesięć, dwadzieścia lat temu odnajdywałem takich pisarzy i z zazdrością przyglądałem się ich wysiłkom, podziwiałem, że tak pięknie im się to (nie)udaje.

## Słabość

**W związku z językiem ciekawie brzmi Pana rozmowa z Jakubem Orzeszkiem (opublikowana na „CzasKultury.pl”) dotycząca kwestii słabości.**

Myślę, że jest coś niezwykle silnego w słabości. Na czym polega ta ukryta siła? Nie wiem. Skąd – na przykład – bierze się siła zmarłych? Wielokrotnie próbowałem zrozumieć, dlaczego ciągle i na różne sposoby oni mnie niepokoją. Dlaczego, obcując ze zmarłymi, zawsze staję po ich stronie. W wiecznym konflikcie żywych i martwych, który się objawia na różnych poziomach, ci drudzy stoją po słabszej stronie i domagają się jakiegoś wzmocnienia. Oni proszą o pomoc, bo są zawsze obiektem działań, na które nie mają wpływu. Nekroprzemoc przybiera wiele odmian. Jakich? Wkrótce w wydawnictwie Słowo/obraz terytoria ukaże się książka na ten temat. Jej autorzy pokazują rozmaite formy przemocy wywieranej na umarłych – od duchowej i symbolicznej po bardzo realną. Koniecznością etyczną wydaje się w tej sytuacji dobrowolna rezygnacja z władzy, która przypada w udziale żyjącym. Albo chociaż jej osłabienie i przejście na stronę zmarłych. Myślę zresztą, że jest to zasada, którą chętnie bym upowszechnił i stosował w innych sferach ludzkich kontaktów – ale umarli są „słabi” z definicji, są skazani na słabość. Jako żywi walczymy ze sobą nawzajem na różnych polach, staramy się narzucić innym swój wizerunek, swoje poglądy, swoją sztukę, swoją osobę, swoje ciało i tak dalej. Możemy liczyć na reakcję – zwłaszcza ze strony silnych. Natomiast umarli nic już zrobić nie może. Jest skazany

na bycie obiektem przemocy – a czasem też jej ofiarą. Stąd mój pomysł – sprzed dobrych trzydziestu lat – na pisanie nekrografii Mickiewicza. Rzecz ukazała się w 1997 roku pod tytułem *Zwłoki Mickiewicza*. Na moją odpowiedzialność. Nikt za mną nie stał. Mam nadzieję, bo tworzenie nekrograficznych dyskursów nie może, nie powinno być wspólnotowe. Biograf działa bowiem na mocy mandatu udzielanego mu przez mniejszą lub większą zbiorowość: naród, partię polityczną, środowisko ideologiczne, a czasem tylko krąg towarzysko-rodzinny. Za biografią stoi zatem pewien pakt społeczny. Dobrze to widać na przykładzie Mickiewicza. Bo Mickiewicz Tarnowskiego nie jest Mickiewiczem – dajmy na to – socjalistów. Za każdym razem biograf zawiera umowę ze zbiorowością, do której należy i/lub której jest zleceniobiorcą, która powierzyła mu zadanie do wykonania. Nekrograf nie ma takiego zaplecza. Działa – w pojedynkę – w imieniu umarłego.

**Bardzo ważny, intrygujący, domagający się rozwijania ten – jeśli można tak powiedzieć – nekrograficzny (może nawet nekrologiczny) punkt widzenia.**

Mam nadzieję, że ten punkt widzenia przyjmą i uznają za własny najmłodsze roczniki. Ciekawe rzeczy dzieją się w grupie młodych, z którymi współpracuję. Część z nich idzie w kierunku nekrograficznym. Przygotowujemy w tej chwili projekt grantowy o polskich maskach pośmiertnych...

**Sporo mówiło się i mówi o polskim portrecie trumiennym, rzeczy bardzo oryginalnej, a tu okazuje się, że mamy także maski pośmiertne.**

Portret trumienny to rzeczywiście polska osobliwość, która została przez badaczy należycie opisana. Natomiast nasze maski pośmiertne są niestety – w stosunku do tego, co na ten temat pisano na świecie, na temat wizerunków zmarłych „martwych twarzy” – słabo przebadane. Istnieją gdzieś ukryte, nie wiadomo gdzie. Mało kto o nich wie. Mówi się o trzech, czterech, może pięciu najsłynniejszych i w miarę chętnie eksponowanych: Chopina, Matejki, Szymanowskiego, Piłsudskiego czy księdza Frelichowskiego. A nam wstępnie udało się ustalić, że jest ich w polskich muzeach co najmniej sto pięćdziesiąt. A pewnie i więcej.

**To jest materiał na duży grant! I tu postawmy kropkę, bo w przeciwnym razie musielibyśmy rozmawiać do rana.**

Gdańsk, 13 października 2022

PS Od naszej rozmowy minęło już kilka miesięcy. Czas płynie szybko. Jakub obronił doktorat. Wkrótce wyjdzie jego książka. *Nekroprzemoc* już dawno w księgarniach. Podobnie z pierwszym tomem „Archiwum schulzowskiego”. Rada Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki, gdzie złożyliśmy projekt *Polskie maski pośmiertne*, uznała, że nie są one dostatecznie ważne, bo zainteresują nielicznych. I nie przesłała go nawet do recenzentów merytorycznych. Ale sprawa nie umarła. Projekt będzie realizowany. A – i jeszcze wystawa wokół *Xięgi bałwochwalczej*. Zapraszamy na nią jesienią.